Nr. 8. We Lwowie dnia 25. lutego 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Głos francuski o przyszłości narodu polskiego.

Zapytywanie innonarodowców o tem, co oni myślą o przyszłości naszego narodu, uważam za niewłaściwe. Gdyby nie krępowały względy uprzejmości, prawdopodobnie nie jeden z nich byłby powiedział: „przyszłość“ od was samych zależy; zależy od tego, czy pragniecie być wolni i niepodlegli, czy też pogodziliście się ze swoim losem. Napoleon I-szy, do którego wielu z nas wyjawia nieuzasadnioną pretensję, nieraz szorstko to wypowiadał. „Czego gorąco pragną miljony — raz zauważał — to koniecznie osiągnąć muszą“. Kto gorąco pragnie, ten nie dba o to, co inni myślą lub mówią, ale prostą drogą idzie ku upragnionemu celowi. Niezawodnie zjednywanie opinji publicznej innych narodów jest rzeczą pożyteczną, lecz nigdy nie powinniśmy okazywać, jakobyśmy sami mogli wątpić o przyszłości naszego narodu. Silna wiara budzi i w innych wiarę.

Anatol Leroy-Beaulieu, znany autor „Państwa carów“, zapytywany o tem, co myśli o przyszłości narodu polskiego, ogłosił odpowiedź swoją w miesięczniku Revue des revues (N. 2. 1900) pod tytułem: „L'avenir de la nationalité polonaise“ (przyszłość narodowości polskiej).

Odpowiedź ta, mieszcząca się na dwóch i pół stronicach, została przyjęta przez naszych umiarkowanych patrjotów z wielkiem uznaniem i niemal zalecona, jako wskazówka polityczna dla nas. I z tego więc powodu należy się zwrócić na nią większą uwagę.

Artykulik Leroy-Beaulieu możnaby podzielić na trzy części: ogólną, szczególną ze względu na nasze położenie i doradczą — że tak powiem. Z pierwszą najzupełniejsza zgoda, w drugiej różnię się w ocenieniu naszego stosunku do mocarstw rozbiorczych, co do trzeciej zaś — to jej stanowczo zaprzeczyć muszę.

„Jestem z liczby tych Francuzów, zawsze jeszcze wielkiej — zapewnia autor — co uporczywie zostali wiernemi ideałowi sprawiedliwości, ukochanemu przez Francję ojców naszych. Szczycę się tem, żem zachował z lat mojej młodości współczucie dla wszystkich ujarzmionych narodów, a nadewszystko dla Polski, najnieszczęśliwszej ze wszystkich narodów.... Zabić naród jest to okaleczyć ludzkość. W moich oczach zniweczenie narodowości takiej, jak polska, stanowiłoby nietylko zbrodnię polityczną, ale byłoby zamachem przeciwko całej ludzkości i cywilizacji. I to jest tem prawdziwsze, że w ciągu tego 19-go stulecia, które już się kończy, wasza szlachetna ojczyzna, wykreślona z karty, jako państwo, nie ustawała przejawiać swoją żywotność narodową w dziedzinie sztuki i literatury. Możnaby nawet powiedzieć, że rzadkiem, prawie paradoksalnem w dziejach zjawiskiem, kraj Mickiewicza i Matejki nigdy nie przejawiał tak intensywnego życia, nigdy nie wydał tylu poetów, tylu artystów, tylu uczonych, co od czasu rozdarcia go na części. Jest to swego rodzaju zaprzeczenie śmierci, które wykazuje siłę myśli narodowej i przynosi honor charakterowi polskiemu. Kruchem jest istnienie oddzielnego człowieka, ale narody mają życie oporne. Nic niema trudniejszego jak zabić narodowość. Egoistyczni politycy, którzy rozbierając Polskę, mniemali zniweczyć naród polski, grubo się pomylili. Po stuletnich przeszło cierpieniach, wasza narodowość zawsze żyje w sercu waszego narodu i w genjuszu waszych pisarzy. Naród, który przeszedł takie próby, ma prawo powiedzieć o sobie, że jest nieśmiertelny“.

Naród bez własnego państwa, to jakby dusza bez ciała — powiada autor. Rozwój narodowości jest wówczas nader utrudniony. A cóż powiedzieć, jeżeli ten naród jest rozdarty na trzy części, jeżeli jest pozbawiony, nietylko niepodległości, ale i samorządu, jeżeli wystawiony jest w zaborze niemieckim na germani-

zację, w zaborze rosyjskim na moskalenie?! „Germanizacja lub rusyfikacja, polityka gwałtownego wynarodowiania, którzy nasi przyjaciele rosyjscy lub nasi przeciwnicy pruscy stosują do waszego narodu, jest niegodna ludów cywilizowanych, jest niegodna rządów, które śmią się nazywać chrześcijańskiemi".

Autor jest tego zdania, że od państwa pruskiego nie możemy się spodziewać polepszenia swego losu. „Nienawiść, jaką miał Bismark dla was, przeżyła go. Wiekowa pogarda Niemca dla Słowianina istnieje zawsze. Nieustannie odradzająca się żywotność, jaką okazuje wasza narodowość w Poznańskiem, w starych Prusach, na Śląsku, wprowadza tylko w złość biurokrację pruską". Ze strony Rosji wydaje się autorowi horyzont mniej ponury, pomimo całego ucisku, jakiego doznaje naród polski w zaborze rosyjskim. „Trudność, można by nawet powiedzieć — bezskuteczność usiłowań rusyfikacyjnych, przynajmniej w prowincjach nadwiślańskich, staje się widoczną dla światlejszych Rosjan. Przyznawanie się do tego można znaleść w dokumentach nawet rządowych, np. w tajnym memorjale księcia Imeretyńskiego. Następnie, cokolwiek mówią niektórzy wasi rodacy, Rosjanin jest Słowianinem i szczyci się z tego. Rosja chlubi się, że jest przyjaciółką i opiekunką Słowian. Nie może ona was zawsze wykluczać z wielkiej rodziny słowiańskiej".

Nie podzielam zgoła takiego zapatrywania się na nasze stosunki. Od rządów, zarówno niemieckiego jak i rosyjskiego, nie mamy się niczego spodziewać: jeden i drugi, nie bez słusznych powodów, widzi w polskości pierwiastek rewolucyjny i dąży do zniweczenia go wszelkiemi możliwemi środkami. Jakkolwiek dążność obu rządów względem Polaków jest jednakowa, to jednak uznać należy się, że położenie nasze narodowe pod panowaniem niemieckiem jest o wiele znośniejsze, aniżeli pod panowaniem rosyjskiem. W państwie niemieckiem niema żadnej prowincji, gdzieby Polakom nie wolno było rozmawiać po polsku na ulicy i w publicznych miejscach, gdzieby nie wolno było im nabywać własności ziemskiej; tymczasem w państwie rosyjskiem jest cały wielki kraj: Litwa, gdzie głośne mówienie po polsku jest uważane za występek i karane, są dwa kraje, Litwa i Ruś, gdzie Polacy są pozbawieni prawa kupowania ziemi. Gdyby który z redaktorów pism warszawskich ogłosił jeden z tych artykułów, które drukują pisma poznańskie, to nie tylko przesiedziałby parę lat w cytadeli, ale zostałby jeszcze, jako zbrodniarz stanu, do ciężkich robót w Syberji wysłany. Niedawno się odbył liczny wiec polski w Berlinie, na którym głośno potępiano system rządowy wynarodowiania Polaków i zastanawiano się nad środkami oporu i obrony swojej narodowości. Czyż podobny wiec mógłby się odbyć w Petersburgu?! W Berlinie wychodzi Gazeta Robotnicza, organ polskiej partji socjalistycznej, która często ogłasza sprawozdania towarzystw robotniczych z wymienieniem nazwisk czynnych tam członków; tymczasem socjaliści polscy z zaboru rosyjskiego obawiają się nawet za granicą przyznawać się otwarcie do socjalizmu, gdyż to mogłoby ich po powrocie do kraju narazić na prześladowanie. Znośniejsze położenie Polaków pod panowaniem niemieckiem nie jest następstwem ani większej wyrozumiałości rządu berlińskiego, ani większej życzliwości narodu niemieckiego, ale następstwem tego, że w państwie niemieckiem jest jakie takie prawo, jaka taka konstytucja, jest szczypta wolności; kiedy tymczasem w państwie rosyjskiem jedynem prawem, jedyną konstytucją jest: „sic volo, sic jubeo" (tak chcę, tak każę), którem się posługuje nie tylko car, nie tylko Imeretyński, ale każdy gubernator, każdy naczelnik powiatu. I Rosja przecież może zostać państwem konstytucyjnem — gotów kto zauważyć — a wówczas otworzy się w niem dla Polaków większa przyszłość, aniżeli w państwie niemieckiem. Na to odpowiem, że Niemcy prędzej zostaną rzecząpospolitą, aniżeli Rosja monarchją konstytucyjną, a gdyby nawet car z łaski swojej pośpieszył z nadaniem konstytucji, to w najlepszym razie ta moskiewska konstytucja będzie w takim stosunku do niemieckiej, jak niemiecka do szwajcarskiej.

Na zadania czynnego patrjotyzmu w Polsce pisarz francuski zapatruje się oczami stańczyków. Jest przeciwnikiem rewolucji, zaleca siedzieć cicho i pracować organicznie. „Wielkim błędem waszych ojców z 1863 r. było to, że się spodziewali od rewolucji i to od rewolucji narodowej tego, czego mogli tylko oczekiwać od ewolucji i to ewolucji powszechnej w Europie". „Wszelkie usiłowanie rewolucyjne, podobne do dawnego, zwiększyłoby tylko podwójne jarzmo, które gniecie waszą ojczyznę".

Jakkolwiek może się to wydawać parodoksalnem, to jednak wobec propagandy stańczykowskiej, wypada głośno to powiedzieć, że biorąc w uwagę nie szlachtę, nie inteligencję, ale cały naród, a przedewszystkiem chłopów, stan rzeczy w Polsce po 1863 r. nie pogorszył się, ale znacznie się polepszył. Gdyby nie „błędy" naszych ojców z demokracji wojującej, to prawdopodobnie ta ciężka kula u nóg narodu polskiego, jaką było poddaństwo chłopskie, dotąd jeszcze przeszkadzałaby dzisiejszej pracy jego ewolucyjnej. Przytem rewolucja nie jest w tak wielkiem przeciwieństwie do ewolucji — jakby się mogło wydawać ze słów autora. Rewolucja jest przyśpieszonem tempem ewolucji i jakby dokończeniem owej. Ewolucja, nagromadziwszy dostateczny zasób sił, energji, łamie lub obala przeszkodę, która wstrzymuje

jej bieg naturalny. Ślepy tylko nie widzi, że w Polsce odbywa się obecnie olbrzymia ewolucja społeczna, napotykająca największą przeszkodę w rządach najezdniczych.

Anatol Leroy-Beaulieu, członek Instytutu, nie podziela przekonań socjalistycznych, jest nawet w pewnej mierze zachowawcą. Widzi jednak dobrze, że w całej Europie odbywa się olbrzymia ewolucja społeczna, która musi ją ostatecznie przeobrazić i pod względem społecznym i pod względem politycznym. „Europa — powiada autor — stara Europa jest w stanie przeobrażania się, pod podwójnem działaniem przekonań, które w niej fermentują, i nowych interesów, które w niej pracują. Europa, przynajmniej Europa kontynentalna, będzie zmuszona prędzej lub później zbliżyć ku sobie różne swe narody, ugrupować je, skonfederować politycznie i ekonomicznie, ażeby zachować swą potęgę wobec świata nowego i nowych lądów, wobec Anglo-Sasów, Stanów-Zjednoczonych, Ameryki lub też cesarstwa między oceanowego Greater Britain. Stany Zjednoczone Europy, w znaczeniu federacji różnych narodowości europejskich, nie są czczą utopją; wkrótce staną się one dla Europy jedynym środkiem obrony swej dawnej przewagi w całym świecie. Otóż, w Europie federalnej, w Europie — równocześnie federalnej i demokratycznej, w lepszem znaczeniu tego wyrazu, wiele rzeczy z pozoru niemożliwych będzie mogło się ziścić, wiele zmartwychwstań dopełnić. Kwestje dla nas nierozwiązalne dadzą się wreszcie rozwiązać, zgodnie z zasadami wolności i sprawiedliwości“. *Bolesław Limanowski.*

WASYL STEFANYK.

Kamienny krzyż.

(Dokończenie.)

IV.

— A teraz ruszaj sobie, stara, między baby i pilnuj, ażeby każde miało, co mu się patrzy, a napij się raz przecie, niech cię widzę pijaną. A was, gazdowie mili, mam jeszcze o dwie rzeczy prosić. Kiedyś wam może synowie dadzą znać, że nas (to jest: mnie i mojej starej) już niema na tym świecie pomiędzy żywymi. Tobych was prosił, żebyście za nas najęli służbę, wyprawili stypę razem, jak tu jesteście i zmówili „Ojczenasz“ za dusze nasze. Może Pan Bóg mniej grzechów przypisze. Pieniądze na to ostawię Jakóbowi, bo on najmłodszy z was i dobry człowiek, ta nie skryje przed ludźmi chłopskiego grajcara.

— Najmiemy służbę — rzekli — i nie jedno „Ojczenasz“ zochfiarujemy, jak nas Bóg dochowa. O to się nie turbujcie...

Iwan zadumał się. Na jego twarzy malował się jakiś wstyd.

— Wy staremu się nie dziwcie i nie śmiejcie się z dziada. Mnie samemu wstyd wam to powiedzieć, ale zdaje mi się, żebym grzech miał na wieki, jakbym zataił i zamknął w sercu swojem. Wy wiecie, że ja na swoim pagórze krzyż kamienny postawił. Gorzkom go wiózł i ciężkom go na górę wysadzał, alem go przecie postawił. Taki ciężki, że garb go ze siebie nie zrzuci, musi go tak trzymać na sobie, jak mnie trzymał. Tylą pamiątkę chciałem tu po sobie zostawić...

Stulił dłonie w trąbkę i przyciskał do ust.

— Wiem ja dobrze, że mi się tak bedzie cnęło za tym garbem, jak dziecku małemu za cyckiem, kiedy matka ostawi je w izbie samiutkie, a ono kwili. Ja na nim wiek swój cały spędził i na nim okaleczał. Jakbym mógł, tobym go za pazuchę schował i zabrał potajemnie w świat. Żal mi za najmniejszą okruszyną we wsi, za najmniejszem dzieckiem, ale za tym garbem najbardziej.

Oczy zamigotały mu wielkim żalem, a twarz zadrgała, jak drga rola czarna pod słońcem.

— Tej nocy leżę na boisku i dumam i dumam: Boże miłosierny, co ja takiego ciężkiego zawinił, że mnie pędzisz za światowe wody? Ja całe życie ciężko przepracował! Nieraz, jak się dzień skończył, to ja padam na niwę i szczerze modlę się do Boga. Boże! Nie odmawiaj mi nigdy kawałka czarnego chleba, a ja zawdy będę pracował uczciwie, chybabym nie mógł ręką ani nogą ruszyć...

— Potem mnie taki żal napadł, żem sobie palce gryzł i włosy rwał i tarzał się po słomie, jak ta chudoba nierozumna. A potem nieczyste mnie opętało. Nie wiem, kiedy i jak znalazłem się pod gruszką z powrozem. Chwileczka

mała — a byłbym się zadzierzgnął. Ale Bóg miłosierny wie, co robi. Zbaczyłem se o moim krzyżu — i het mie odeszło... Jej! — jak się nie porwę, jak nie polecę na swój pagór! Za niedużą chwilę jużem siedział pod krzyżem. Posiedziałech, posiedział i podumał chwilę i jakoś mi się lżej zrobiło. — A-o, stoję przed wami i rozmawiam z wami, a ten garb mi ani na chwilę z głowy nie wyłazi. Ciągle go widzę i widzę, i umierał bedę, a bedę go widział. Wszystko zapomnę, a jego nie zapomnę. Śpiewki-m wszelakie znał, a na nim ostawił... siłę-m niepoślednią miał, a na nim stracił.

Łza mu się potoczyła po twarzy, jak perła po skale.

— Ta ja was proszę, gazdowie moi mili, abyście, jak bedziecie pole święcić we Wielgą Niedzielę, nigdy mojego garba nie minęli. Którybądź z młodszych niech wyleci i niech pokropi krzyż święconą wodą, bo wiecie, że ksiądz na górę nie pójdzie. Proszę was o to bardzo pieknie, żebyście też nigdy mojego krzyża nie minęli. Bedę się szczerze za was modlił, póki mowy stanie, jeno też zróbcie staremu na wolę.

Jakby im się chciał do nóg rzucić, jakby chciał dobremi, siwemi oczyma na wieki zakopać w ich sercach prośbę swoją!

— Kumie Iwanie, pozbądźcie się żałości swojej i zawierzcie nam święcie. My zawsze wspominać was bedziemy — czy w radości, czy w biedzie. Byliście porządnym człowiekiem, każdy przyzna, nie napastnęliście nikogo, nikomu nie worali-ście się w miedzę, ani skiby niczyjej nie zasiali, nawet jednego ziarnka cudzego nie macie na swojem sumieniu... Oj, bo nie! Co prawda — nie grzech pedzieć. Wierzcie, że was bedą ludzie dobrze wspominać i, jak przyjdzie Wielga Niedziela, nie ominą waszego krzyża przechodzący.

Tak perswadował Michał Iwanowi — a ten mu wierzył święcie i dziękował za to słowo uściskiem.

V.

— Jużem wam, gazdowie mili, wszystko wypowiedział, co mi jeno ciążyło na sercu. A teraz, kto mnie lubi, ten bedzie ze mną pił! Słonko już zaszło nad mogiłę, a wyście jeszcze porcji wódki ze mną nie wypili. To grzech, o pomstę wołający! Jak długo jestem w swojej izbie i mam gości za swoim stołem, to bedę z nimi pił — a kto mnie rad widzi, ten się nie oprze.

Zaczęła się pijatyka, ta pijatyka, co to robi z chłopa głupawego podrostka. Wnet pijany już Iwan kazał wołać muzykę, niech zagra młodym, co zalegli podwórze i stoją.

— Moi wy, — krzyknął — macie tak tańcować, żeby ziemia dudniała, żeby się ani jedna trawka na toku nie ustała!...

W izbie zaś pili wszyscy i wszyscy naraz gadali, a nikt nie słuchał. Gwara brzęczała w izbie niskiej, rosnąc powoli w huk — i szła rozmowa sama dla siebie, bo trza było gadać, koniecznie gadać, musiało się gadać, choćby na wiatr.

— Jak-em ci wypucował, to był wypucowany. Który czarny, to się śklił, jakby śrebła po węglach naosypał, a który biały, to był jeszcze bielszy, to jakby — nieprzymierzając — masłem śnieg posmarował. Konie u mnie były w ordynku, cesarz mógł siadać! Alem-ci piniędzy wtedy miał! Oj, miał, miał...

— Hej!.. żebym się znalazł na takim stepie, co to nic... jeno ja i drugi Pan Bóg! Żebym chodził, jak dziki twór, jeno żebym nie widział tych żydów, ani tych panów, ani księży!.. Wtedy by się nazywało dopiero, żem pan! A ta ziemia niech się zapadnie, odrazu niech się ze mną straci — to się nie zmartwię. Za czem? Bili i katowali ojców naszych, jak woły robocze — a nam to już i kawałka chleba nie dadzą przełknąć... Ej, żeby to tak po mojemu!.. Chryste Jezusie!

— Jeszcze nie było takiego sekwestrarza, coby urwał ździebełko z podatku — oj nie! Był Czech, był Niemiec, był i Polak — każdy łajno, wybaczcie, wziął, jak nic inszego nie znalazł. Ale jak nastał Mazur — to prawdziwie sądny dzień la narodu! On wam kożuch wywąchał pod gruszką. Mazur — powiadam — to już bieda!

Dużo było gwary przeróżnorodnej: rozsypywała się na wszystkie strony, jak opróchniałe drzewa w starym lesie.

W szum, gwar i jęki, w żałośne zawodzenie skrzypiec wrzynał się śpiew Iwana z przyśpiewką Michała. Ten śpiew, co go to nieraz słychać na weselach, gdy starzy gospodarze dorwą się ochoty i zawiodą staroświeckie pieśni. Słowa śpiewu płyną przez ochrypnięte gardła z przeszkodami, jakby u nich nie tylko na dłoniach, ale i w gardle modzele ponarastały. Lecą słowa tych pieśni, jak zżółkłe, jesienne liście, co wiatr niemi pogania po ziemi zamarzłej, a one raz w raz zaczepiają się o każdą grudkę i drżą swymi podartymi krajami, jak przed śmiercią.

Tak śpiewali razem, Iwan i Michał, o młodych latach swoich, co je dogonili na cedrowym moście za rzeką, a one już nie chciały powrócić się do nich, nawet małą chwilę, na krótko.

Jak wyciągali w górę jaką nutę, to ściskali sobie ręce, ale tak mocno, że stawy im chrupały; a jak spotykali bardzo żałośne miejsce, to nachylali się ku sobie i przytulali czoło do czoła, jak małe dzieci. Obejmowali się za szyję i całowali — bili się pięściami w piersi i grzmocili w stół — i takiej sobie swoim zardzewiałym głosem tęsknoty dodawali, że w końcu żadnego słowa nie mogli już przemówić, jedno:

„Iwanku! Bracie mój!..“ — „Michale! przyjacielu!..“

VI.

— Ojcze, słyszycie, już czas iść na kolej, a wyście się rozśpiewali, jak za dobrych czasów...

Iwan wytrzeszczył oczy, ale tak dziwnie, że syn zbladł i cofnął się. Iwan sparł głowę na obu dłoniach i długo nad czemś medytował.

Wstał potem z za stołu, poszedł do żony i wziął ją za rękaw.

— Stara, chodź wartko! No — amc, cwaj, draj! Pódź, ubierzemy się po pańsku i bedziemy panować.

Wyszli oboje.

Jak wchodzili napowrót do izby, to cała chałupa zapłakała. Jakby chmura płaczu, co nadewsią zawisła, oberwała się, jakby niedola ludzka tamę rzeczną zerwała — taki był płacz. Baby załamały ręce i, tak splecione, trzymały nad starą Iwanichą, aby co z góry nie spadło na nią i na miejscu nie zadławiło.

A Michał złapał Iwana za piersi, trząsł nim i wrzeszczał, jak wściekły:

— Mój ty, jakeś gazda, to fruń te szmaty ze siebie, bo ci tak mordę wymłócę, że...

Iwan nawet nie spojrzał w tę stronę. Złapał starą za szyję i puścił się z nią w taniec.

— Polkę mi graj, po pańsku, przecie mam piniądze!

Ludzie zamilkli, a Iwan tyrmosił starą, pół-umarłą, jakby już nie chciał żywej puścić z rąk.

Wbiegli synowie i przemocą prawie wynieśli ojców z chałupy.

Lecz i na podwórzu Iwan tańczył dalej, a Iwanicha uczepiła się rękami progu i zawodziła, mówiąc:

— A tom cię wydeptała, progu mój, doznaku wygryzła temi nogami...

I zataczała ręką w powietrzu, pokazując, jak głęboko ona ten próg wydeptała chodzeniem swojem.

VIII.

Płoty przydrożne waliły się, gdy gromada wyprowadzała Iwana.

Szedł ze starą, zgarbiony, w cugowem, siwem ubraniu i, co chwila, podrywał się do tańca.

Aż skoro wszyscy znaleźli się pod krzyżem, który Iwan postawił na wzgórzu onem przeklętem — wtedy upamiętał się trochę i pokazywał go.

— Widzisz, stara, nasz krzyżyk?.. Tam jest wybite i twoje imię. Nie bój się, jest i moje i twoje.

Wyodrębnienie Galicji.

2)

VI.

Czy wyodrębnienie Galicji może mieć szanse ekonomicznego rozwoju?

Liczący się głównie z ekonomicznemi własnościami Austrji Dolnej i Czech, system finansowy austrjacki nie jest przystosowany do ekonomicznych warunków Galicji.

Na to nieprzystosowanie wskazuje nam cały szereg okoliczności.

Najelementarniejszą zasadą dobrego systemu finansowego jest takie ustanowienie podatków, by jak najmniejsza była różnica w sumie podatków, opłacanych przez mieszkańców i służących do zaspokajania potrzeb państwowych, by jak najmniejsze były wydatki poboru podatków, czyli by jak najmniejszy procent ściąganych podatków szedł na koszta ściągania i na administrację podatkową. Otóż krajowe zarządy finansowe kosztowały w Galicji podług preleminarza za 1897 r. 1.063.032 zł. czyli 27.48% wydatków na ten cel Cislitawji, administracja podatkowa i bezpośrednia służba podatkowa kosztowała Galicję przeszło 335.000 zł. czyli 18,24% na ten cel wydatków państwowych.

Olbrzymi udział Galicji w wydatkach poboru i egzekucji, wynoszący podług preliminarza 1897 r. 46.91 z ogółu wydatków poboru podatków Austrji, jest najlepszem świadectwem nieodpowiedności dla Galicji austrjackiego systemu finansowego. Nie wdając się obecnie w szeroką krytykę galicyjsko-austrjackich finansów, nadmienimy tylko, że podwójny system administracji w Galicji, autonomicznej i państwowej, wynikający ze współczesnego stosunku tego kraju do Austrji, obciąża też nieprodukcyjnie finansy Galicji.

Dziś sejmy krajów koronnych mają poruczony obszerny zakres działalności: szkolnictwo, szpitale, komunikacje, cele kulturalne i przemysłowe itd., lecz nie są wyposażone w odpowie-

dnie środki finansowe. „Dochody autonomicznych ciał jeszcze są nieotworzone“, powiada Fr. Mischler w pracy swej „Öffentlicher Haushalt in Böhmen“ str. 198.

Nietylko w przysłowiowo biednej Galicji, ale i w bogatych Czechach, gdzie jeden cent dodatku do podatków daje około 270.000 zł. (w Galicji około 120.000 zł.) trzeba łatać budżet krajowemi pożyczkami, w 1898 r. wydział krajowy dla Czech obliczył niedobór na 18 mil. zł. i proponował Sejmowi, jako pokrycie zaciągnięcie pożyczki, oraz podwyższenie dodatku krajowego z 39 do 54% a więc 15% dodatku w jednym roku.

Trudności natury finansowej dotychczas krzyżowały działalność sejmu galicyjskiego. Jedna trzecia dzieci w wieku szkolnym nie pobiera nauki szkolnej, zdaniem Rady szkolnej należałoby otworzyć 2200 szkół i wykształcić 2.800 nauczycieli.

Polityka inwestycyjna, ekonomiczna polityka, mająca na celu podźwignąć przemysł kraju, służy też dla podźwignięcia jego finansów, polityka, mająca na celu wzmocnić finansy krajowe, nie ma innego środka, jak popieranie przemysłu.

Gdy w 1815 r. utworzono Królestwo kongresowe, sądzono, że ten kraj nie będzie mógł utrzymać się dla względów finansowych. Punktem wyjścia stała się polityka, zdążająca do rozwoju przemysłu, na cele przemysłowe wydawał skarb Królestwa od 1822 r. po 100.000 r. rocznie, otworzył tak ważny w dziejach naszego przemysłu Bank polski. 1830 r. zastał finanse Królestwa w świetnym stanie.

Budżet Węgier, popierających przemysł, wzrasta szybciej, niż budżet austrjacki. Gdy w Austrji od r. 1870 do 1893 wzrósł budżet państwa z 320 mil. zł. do 636 mil. zł., tj. zwiększył się o 98%, budżet Węgier wzrósł z 158 mil. do 421 mil. zł. tj. o 166.3%.

W kwestji finansów Galicji musimy przyjść do wniosku, że wyodrębniona Galicja, zaprowadziwszy oszczędności przez reorganizację swej administracji, może zaprowadzić równowagę w swych finansach. Zlanie finansów krajowych z państwowemi w Galicji może przystosować finanse Galicji do jej ekonomicznych właściwości i wieść do pełniejszego zaspakajania jej potrzeb. Wyodrębniona Galicja jednak, jako kraj biedny, napotka znaczne trudności finansowe, ale punktem dla niej wyjścia **musi być ekonomiczna polityka, przemysł dźwigająca.**

Na czem może jednak polegać ta polityka, wszak odrębności celnej nie uzyska Galicja, jak jej nie posiadają jeszcze Węgrzy — odpowiedzą nam.

Ale Węgry zdołały jednak w krótkim czasie stworzyć przemysł i bez ceł ochronnych. Współdziałanie rządu, które towarzyszyło w każdym kraju powstawaniu przemysłu, bywa nadzwyczaj różnostronne i nieogranicza się tylko polityką celną. Odpowiednio przystosowane do celów przemysłowych taryfy kolejowe mogą najzupełniej zastąpić cła ochronne, następnie ulgi podatkowe dla nowo-powstających przedsiębiorstw i udzielanie państwowego dla nich kredytu przez bank państwowy, branie w administrację przedsiębiorstw upadających, ale mających szanse rozwoju, przyczyniają się w znacznej mierze do rozwoju przemysłu. Zwolnienia od podatków powstających przedsiębiorstw praktykują od 1881 r. Węgrzy z wielkiem powodzeniem. Pod względem finansów państwowych, środek ten jest bardzo pożyteczny, gdyż stwarza z jednej strony nowe źródła finansowe na przyszłość, z drugiej chroni od kosztów pobierania podatku od jeszcze nie rozwiniętych, nie dostatecznie rozrosłych przedsiębiorstw, kosztów najczęściej nieodpowiednio wysokich w porównaniu do sumy otrzymywanej, jako podatek, przez skarb państwa.

Jak ważną jest odpowiednia działalność banku państwa dowodzi tego historja przemysłu Kongresówki lub Belgji. Gdy by **Bank Krajowy** Galicyjski miał ustawę dawnego Banku polskiego, mógł zakładać nowe przedsiębiorstwa, brać w administrację przedsiębiorstwa swych dłużników, wówczas ani sprzedaży Schodnicy kapitalistom obcym, którzy miljony zarobili na tym interesie, ani krachu w Kasie oszczędności możeby nie było, jeżeli by zaś były tam przeniewierstwa, nosiły by one całkiem inny charakter i nie miały by tak opłakanych skutków ekonomicznych. Wtrącając to zdanie, pozornie odstąpiliśmy od tematu, trzeba było nam od powiedzieć na zarzuty, czynione polityce inwestycyjnej, że ona doprowadza do takich faktów, jak te, które miały miejsce niedawno z Kasą oszczędności Galicji. Nie polityka inwestycyjna w Galicji, ale brak takiej polityki. brak odpowiednich organów finansowych krajowych, niedostateczne finansowe i ekonomiczne kompetencje Sejmu — oto okoliczności, które tamują rozwój Galicji.

Nie będziemy obecnie kreślili planu ekonomicznego podźwignięcia Galicji.

Dla wypełniania planu o szerszych zakresach trzeba mieć wolne ręce, trzeba być gospodarzem u siebie w kraju, trzeba **na dziś** — wyodrębnienia Galicji. *Wład. Studnicki.*

Psychologja tłumu.

Gustaw Le Bon: Psychologja tłumu w przekładzie Z. Poznańskiego. Wydawnictwo Związku naukowo-literackiego. Nakładem H. Altenberga. Lwów 1899.

Potrzebę rozszerzenia zakresu badań psychologicznych, przejścia od psychologji jednostki do psychologji zbiorowisk ludzkich, odczuwano już oddawna, rozumiejąc, iż między psychologją a socjologią musi stanąć koniecznie psychologja kolektywna, jako niezbędne ugruntowanie nauki o społeczeństwie. Nie zatrzymując się nad literaturą tego przedmiotu, zaznaczę tu tylko, że i Le Bon zanim napisał omawianą książkę, wydał już uprzednio pracę, dotyczącą psychologji pewnego rodzaju agregatów społecznych, a mianowicie istniejące i w polskim przekładzie dzieło o „Prawach psychologicznych rozwoju narodów“. Praca ta Le Bon'a, aczkolwiek dotyczy przedmiotu innego, stoi jednak pod względem historjozoficznych zapatrywań autora w związku ścisłym z jego książką o psychologji tłumu.

Przystępując do pracy nad tym ostatnim tematem, nie wstąpił wszelako Le Bon na niwę zupełnie jeszcze dziewiczą. Wskazuje on sam, co prawda, na to, że i przed nim już zajmowano się psychologją tłumu, wymienia nazwiska Tarde'a i Sighelego (autor znanej i po polsku pracy o „Tłumie zbrodniczym“), ale podnosi zarazem tę okoliczność, że wszyscy autorowie traktowali rzecz wyłącznie ze stanowiska kryminalistyki. Muszę tu uzupełnić Le Bona wskazaniem na studjum Fournial'a pt. „Essai sur la psychologie des foules“, ogłoszone w r. 1892, w którem autor próbował stanąć na gruncie szerszym, nie ograniczając się na badaniu wyłącznie tylko tłumu zbrodniczego. Wskażę również na dwie prace polskie, w których autorowie usiłowali oświetlić psychologję już nietylko tłumu zbrodniczego, ale tłumu w ogólności. Mam tu na myśli szkic socjologiczny Dr. Bronisława Łozińskiego o „Tłumie“ ogłoszony w r. 1895 i obszerny artykuł znakomitej poetki Marji Konopnickiej pt. „O tłumie słów kilka“, umieszczony w dodatku literackim „Kraju“ za r. 1896, a wywołany wspomnianym szkicem Dr. Łozińskiego. O psychologję tłumu potrącił również J. Dawid w swej pracy „O zarazie moralnej“.

I Le Bon chce w książce swojej stanąć na tem stanowisku szerszem, nawet na możliwie najbardziej szerokiem i bezstronnem.

Zaznaczając, iż jednym z najbardziej uderzających rysów charakterystycznych naszej epoki jest wystąpienie na widownię polityczną klas ludowych, a nawet przeobrażenie się ich w klasy panujące, powiada on, że stulecie, w które wstępujemy będzie erą tłumu, a symptomata powszechne, dające się zauważyć u wszystkich narodów, wskazują na gwałtowny wzrost potęgi mas i nie pozwalają przypuszczać, aby wzrost ten miał wkrótce się zatrzymać. Tłumy te, o których tyle zaczyna się już mówić, znamy jednak bardzo mało. Zawodowi psychologowie, powiada Le Bon, trzymając się od nich zdaleka, zawsze je ignorowali, a jeżeli nawet w ostatnich czasach zajęli się nimi, to wyłącznie tylko, jak już to zaznaczyliśmy, ze stanowiska kryminalistycznego. Istnieją bezwątpienia tłumy zbrodnicze, ale istnieją też i tłumy cnotliwe, bohaterskie i wszelakie inne. Zbrodnie tłumów to tylko jeden z objawów ich psychicznego życia i niepodobna poznać ustroju umysłowego tłumów, studjując tylko ich zbrodnie tak, jak niepodobna poznać duszy pojedynczego osobnika, opisując wyłącznie tylko jego występki.

Dotychczas tylko wielcy władcy świata, wszyscy założyciele religji i państw, apostołowie wszelkich wyznań, wybitni mężowie stanu, a w rozmiarach skromniejszych także i prości naczelnicy drobnych grup społecznych zawsze byli intuicyjnymi psychologami, zawsze posiadali instynktową, często bardzo wierną znajomość duszy tłumów i właśnie dzięki tej to znajomości stawali się tak łatwo ich panami. A więc, powiada Le Bon, studja psychologiczne nad tłumem mają wartość choćby ze względów praktycznej polityki. Ale już przez samą ciekawość, jaką są w stanie obudzić, zasługują one również na uwagę. Wszak zrozumienie pobudek czynów ludzkich powinno budzić tyleż interesu, co zbadanie jakiegoś minerału lub rośliny?

Idąc wślad za Le Bonem, zapytajmy teraz, co to jest ów tłum, którego psychika stanowi przedmiot omawianego dzieła?

Wyrazem „tłum“, powiada autor, oznaczamy zwykle zbiór jakichkolwiek osobników, niezależnie od ich narodowości, płci i wyznania oraz przypadku, który je zgromadził.

Ze stanowiska psychologicznego „tłum“ posiada jednak, mówi Le Bon, znaczenie całkiem odmienne. Przy pewnych okolicznościach i tylko przy nich zbiór jednostek nabiera cech nowych zupełnie, różnych od tych, jakie mają osobniki, wchodzące w skład tego aglomeratu. Świadomy siebie osobnik znika, uczu-

cia i myśli jednostek przybierają jeden i ten sam kierunek. Tworzy się dusza zbiorowa, a choć istnienie jej jest niewątpliwie krótkotrwałe, posiada ona cechy bardzo wyraźne. Zbiór jednostek staje się wówczas tem, co Le Bon, jak powiada, w braku lepszego wyrażenia, nazywa tłumem uorganizowanym lub, jeśli kto woli, tłumem psychologicznym, który ma swój odrębny byt i podlega prawu umysłowej jedności tłumów. (C d. n.)

Z pism i książek.

Andrzej Niemojewski: Listy człowieka szalonego. Warszawa 1899.

P. Niemojewski napisał książkę, w której chciał wyrazić pewien pogląd życiowy, w czem niema nic złego. Ale p. N. dał książkę z tezą, co nie jest tem samem, tylko cokolwiek gorszem.

Co to jest człowiek szalony? Według autora „Listów" osobniki rodzaju ludzkiego dadzą się podzielić na dwie grupy: ludzi normalnych, u których teoretyczne — nawet szczere — przekonania i myśli stoją odrębnie obok praktycznych, tworzą dwie sfery, przypominające niekiedy biblijną lewicę i prawicę — i na znacznie mniejszą gromadę ludzi szalonych, dla których rozdział taki w życiu nie istnieje. Wskutek tego pierwsi mają zwyczaj prowadzenia podwójnej buchalterji życiowej z całą jej niekonsekwencją. Drudzy zaś przeciwnie, ze swych założeń, chociażby nawet fałszywych, snując wnioski z całą konsekwencją i ścisłą logiką, pozostają zawsze tymi samymi i dlatego są „szaleni. Tyle dla wyjaśnienia nomenklatury. Jeden z takich „szaleńców", obracając się w gronie artystów „nadludzi" rzeczywistych kabotynów, tylko perfumowanych i uczesanych — opisuje tragiczną historję ich modelki, Bronki, dobrej dziewczyny z uczciwej rodziny, która, uwiedziona przez jednego z takiego gatunku „nadludzi", przechodzi potem z rąk do rąk malarzom. Obok nich jest i drugi człowiek szalony, młody chłopak, ze zdrową chłopską duszą i gołębią w niej pogodą, który, pociągnięty prostą dobrocią dziewczyny i jej losem, chce się z nią ożenić, nie wiedząc o przeszłości, jaka się za nią ciągnęła. Raz gdy na zebraniu artystów nagle ujrzał ją trochę pijaną, jak wśród śmiechu wydzierała się im z rąk z porozdzieraną suknią i włosami rozwichrzonymi, coś szarpnęło się w nim i pękło, tak że odszedł i zniknął na zawsze. I w Bronce jakieś nici w duszy wtedy się porwały, bo w parę dni potem rzuciła się do Wisły. Wszystko to odziane w barwny język — p. N. umie dobrze słowem się posługiwać — przetykane umiejętnie cieniowanym sarkazmem i ironją, przeplecione opisami natury, z ładnemi, chociaż nieco zimnemi przenośniami. Mimo to czytelnik odchodzi od tego z wrażeniem, że otwarto przed nim szerokie okno, by mu pokazać coś niezbyt olbrzymiego. To fakt, że teoretyczne ideały, przeniesione w środek interesów ludzkich, wytarły się na szlifierskiem kole człowieczego egoizmu i słabości, i rodząc drugi świat ideałów praktycznych, dostosowanych do warunków realnych, wytworzyły dwie odrębne strony duchowego życia, obok siebie ciągle istniejące. Chociaż wogóle wszelkie wyrzuty pod adresem autora w formie, gdyby był tak lub owak uczynił, nie są zwykle ani słuszne, ani bardzo rozsądne, tutaj trudno oprzeć się pytaniu, czemu p. N. — jeśli chciał wydobyć ten rozłam ideałów, sięgający swą bolesną stroną w głębie istnienia — czemu nie zanurzył dłonie w strumień tego zwykłego życia, jakie koło każdego przepływa, lecz obrał sfery artystyczne, które stanowią zamkniętą poniekąd kastę i przedstawiają tło trochę za szczupłe? Stało się to dla jednego powodu. Oto cel, w który pragnął utrafić, był innego rodzaju. Artyści więcej szkody przynoszą ludzkości, niż pożytku, gdyż ich obrazy przechodzą w posiadanie tylko małej cząstki bogatszych, ludzkość zaś miasto podziwiać ich geniusz, widzi codziennie, co ci nadludzie robią z ich Bronkami. Oto sens moralny! Jaki w początku rozmach, jak szerokie rozwarcie ramion, by w końcu tylko to ująć. O artystów przeto szło autorowi. Nie ze wszystkimi jednak się tak obchodzi. Dla starszych „mistrzów„ chowa on gorący entuzjazm, tylko ci „mniejsi" są przedmiotem interdyktu. Genjusze grzeszą często przeciw ludzkości, lecz ich grzechy kryją się pod ich zasługami, podczas gdy z talentami ma się rzecz odwrotnie. Ludzkość dostarcza im wielu rzeczy potrzebnych do życia, oni w zamian dają im obrazy, niekiedy wątpliwej wartości i nadto zachowują się nieprzyzwoicie, wymyślając jej brzydko i uwodząc jej córki.

Omijam kwestję, czy w odmiennej opinji o genjuszach nie przypadnie większy udział pobłażliwości naszej, niż ich zasługom: jeśli je już tak mierzyć będziemy. Jeśli punkt ciężkości ma spoczywać w owem uwodzeniu dziewcząt, to, o ile wiadomo, nie jest faktem społecznie stwierdzonym, by to było notorycznem zajęciem owych nadludzi, jakakolwiek byłaby ich wartość moralna i Bronkę mógł zbałamucić tak samo dobrze, a nawet z większem prawdopodobieństwem zwykły sobie pan z warszawskiego bruku i tak samo mogła ona również takim panom potem z rąk do rąk przechodzić. I oto na wierzch wychodzi teza, a z nią nieodłączny jej fatalizm; zamiast, by dany splot stosunków ludzkich i wypadków, wydawał z siebie pewne uogólnienie (jeśli tak miało być) dzieje się odwrotnie: uogólnienie wydobywa owe stosunki, akcentując je lub przykrawując stosownie do okoliczności. Wtedy jakiś moment, jakaś sytuacja może być głęboko odczuta i szczerze dana, jej moc wzruszeniowa rozbije się o sceptyczny uśmiech czytelnika, który wie doskonale, że „to było potrzebne".

P. N. u wejścia rozwarł wielkie podwoje dla rzeczy, dla której wystarczyłyby zwykłe drzwi. Lecz chociażby dla tego, u początku szeroko zatoczonego pola widzenia, warto nad tą książką — pomijając jej zalety artystyczne — dłużej się zatrzymać. *T. Sob.*

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.